Taniec w ogniu, tom 3

Taniec w ogniu

Tom 3

pióra

Waughina Jartha

atka Pascost zniknęła w odmętach żałosnej dziury, którą nazywała swoją tawerną, i pojawiła się chwilę później ze skrawkiem papieru ze znajomą bazgraniną Liodesa Jurusa. Decumus Scotti uniósł go do góry, by skorzystać ze smugi światła, która przedostała się przez potężne konary drzewnego miasta, i zaczął czytać.

Skotti,
Czyli dotarłżeś do Falinnesti w lesie Vallin! Gradulacje! Z penwościom miałeś jadonc tu całkiem niazłe pszygody. Nistety, mnie już nie ma tutaj jak żeś zgadłeś pewnie. Jest w duł żeki miastekczko Athie w kturum jestem ja. Weź łudź i dołoncz do mie! Jezd idealno! Mamnadzieje że przywiozłeś, dużo konttraktuf bo tubylcy potrzebują dużo budowania. Byli oni rozumiesz blisko wojny, ale nie tak blisko żeby, nei mieli penienidzy by zapłacić. Ha ha. Spotknij sie zemnom jak tyklo możeż.
- Jurus

A więc, zamyślił się Scotti, Jurus wyjechał z Falinesti i udał się do jakiegoś Athie. Biorąc pod uwagę jego wprawę w posługiwaniu się piórem, równie dobrze mogło to być Athy, Aphy, Othry, Imthri, Urtha albo Krakamaka. Rozsądnym pomysłem, o czym Scotti dobrze wiedział, było uznać przygodę za skończoną i znaleźć jakiś sposób, by wrócić do Cesarskiego Miasta. Nie był najemnikiem poszukującym emocji; był, przynajmniej póki go nie zwolniono, starszym urzędnikiem w dobrze prosperującej prywatnej komisji budowlanej. W ciągu ostatnich kilku tygodni został obrabowany przez Cathay-Raht, przepędzony przez dżunglę przez bandę chichoczących Bosmerów, zagłodzony niemal na śmierć, otruty sfermentowanym mlekiem od świni, niemal zamordowany przez jakiegoś olbrzymiego kleszcza i zaatakowany przez łuczników. Był brudny, wyczerpany i miał, jak policzył, dziesięć złotych monet przy duszy. A teraz człowiek, którego propozycja wpędziła go w tę głębię rozpaczy nawet się nie zjawił. Rozsądne - i kuszące - byłoby machnięcie ręką na całe przedsięwzięcie.

A jednak cichy, lecz wyraźny głos w jego głowie powtarzał mu: zostałeś wybrany. Nie masz wyboru, jak tylko podążać dalej.

Scotti obrócił się ku przysadzistej staruszce, matce Pascost, która patrzyła na niego z ciekawością: - Przepraszam, ale czy wie pani coś o wiosce na skraju niedawnego konfliktu z Elsweyr? Nazywa się jakoś podobnie do Ath-ie?

- Chodzi ci o Athay - odparła z uśmiechem. - Mój średni syn, Viglil, robi tam sery i takie tam. Piękna okolica, tuż nad brzegiem rzeki. To tam jest teraz twój przyjaciel?

- Tak - powiedział Scotti. - Wie pani, jak się tam najszybciej dostać?

Po krótkiej rozmowie i jeszcze krótszej podróży do korzeni Falinesti przy użyciu platform, i szybkim biegu na nabrzeże, Scotti negocjował transport z jasnowłosym Bosmerem o twarzy marynowanego karpia. Mówił na siebie „kapitan Balfix", ale nawet Scotti, spędziwszy spokojne życie w mieście, wiedział, kim był naprawdę. Emerytowanym piratem do wynajęcia, z pewnością przemytnikiem, a prawdopodobnie kimś jeszcze gorszym. Jego statek, który z pewnością pochodził z kradzieży dokonanej w dawno zamierzchłych czasach, był starym, pogiętym imperialnym jednomasztowcem.

- Pięćdziesiąt sztuk złota i będziemy w Athay za dwa dni - buknął potężnie kapitan Balfix.

- Mam dziesięć, nie, przepraszam, dziewięć sztuk złota - odpowiedział Scotti, a czując, że musi się wytłumaczyć, dodał: - Miałem dziesięć, ale zapłaciłem jedną przewoźnikowi od platformy, żeby zjechać na dół.

- Niech będzie i dziewięć - zgodził się radośnie kapitan. - Tak po prawdzie, wybierałem się do Athay tak czy inaczej. Proszę się rozgościć na łodzi, wypływamy za kilka minut.

Decumus Scotti wszedł na pokład stateczku, który zanurzał się głęboko w rzece, wypełniony stosami skrzynek i worków, które wylewały się z ładowni na pokład. Każdy worek i każda skrzynia oznaczona była stemplem ogłaszającym, że są w niej najniewinniejsze substancje na świecie: opiłki miedzi, tłuszcz, inkaust, pasza z Wysokiej Skały (z adnotacją „Dla bydła"), smoła, pasta rybna. Wyobraźnia Scottiego szalała,

przedstawiając sobie obraz tego, co naprawdę znajduje się na pokładzie.

Wtaszczenie reszty ładunku na pokład zajęło kapitanowi Balfixowi więcej, niż obiecane kilka minut, ale po godzinie podnieśli kotwicę i płynęli z nurtem rzeki, w kierunku Athay. Zielonoszara woda ledwie się marszczyła, muskana lekko palcami bryzy. Na brzegach pełno było roślinności, która ukrywała przed oczyma Scottiego wszystkie stworzenia, które śpiewały i ryczały do siebie. Ukołysany spokojem okolicy, Scotti odpłynął w sen.

Nocą zbudził się i z wdzięcznością przyjął czyste ubranie i trochę jedzenia od kapitana.

- Po co płynie pan do Athay, jeśli wolno spytać?

- Mam się tam spotkać z byłym kolegą. Poprosił mnie, żebym przyjechał z Cesarskiego Miasta, gdzie pracowałem dla Komisji Budowlanej Atriusa, by wynegocjować kilka kontraktów. - Scotti odgryzł kolejny kęs suchej kiełbasy, która służyła im za kolację. - Zamierzamy naprawiać mosty, drogi i wszystkie inne budowle, które uległy zniszczeniu podczas niedawnej wojny z Khajiitami.

- To były ciężkie dwa lata - zgodził się kapitan. - Chociaż chyba całkiem niezłe dla ludzi takich jak ja i pański przyjaciel. Drogi handlowe odcięte. Teraz ponoć ma być wojna z Summerset, słyszał pan?

Scotti pokręcił głową.

- Sporo skoomy przeszmuglowałem wzdłuż wybrzeża, pomagałem nawet jakimś tam wywrotowcom umknąć przed gniewem Grzywy, ale wojny zrobiły ze mnie uczciwego handlarza, biznesmena. Pierwszymi ofiarami wojny zawsze są skorumpowani i zepsuci.

Scotti powiedział, że przykro mu to słyszeć, i zapadła cisza. Obaj mężczyźni obserwowali odbicia księżyców i gwiazd w nieruchomej wodzie. Następnego poranka Scotti zbudził się i ujrzał kapitana zawiniętego w żagiel, otępiałego od alkoholu, śpiewającego niskim, łamiącym się głosem. Gdy ten zobaczył, jak Scotti wstaje, zaoferował mu swój dzban jaggi.

- Nauczyłem się tego nie robić podczas uroczystości zachodniego krzyża.

Kapitan zaśmiał się, a potem wybuchł płaczem: - Nie chcę być uczciwy. Inni piraci, których znałem, wciąż kradną, gwałcą, szmuglują i sprzedają takich miłych ludzi jak ty w niewolę. Słowo daję, gdy pierwszy raz płynąłem z prawdziwym ładunkiem legalnych dóbr, nie miałem pojęcia, że tak to się skończy. Wiem, mógłbym do tego wrócić, ale Baan Dar wie, że nie po tym, co widziałem. Jestem wrakiem.

Scotti pomógł szlochającemu elfowi wyplątać się z żagla, mamrocząc słowa pociechy. Potem dodał: - Przepraszam, że zmieniam temat, ale gdzie jesteśmy?

- Oj - jęknął żałośnie kapitan Balfix. - Mamy dobry czas. Athay jest za zakrętem rzeki.

- W takim razie Athay płonie - rzekł Scotti, wskazując przed siebie.

Wielki słup smolistego dymu unosił się ponad drzewami. Dryfując coraz bliżej zakrętu, ujrzeli najpierw płomienie, a potem poczerniały szkielet wioski. Umierający, płonący wieśniacy zeskakiwali ze skał do rzeki. Do ich uszu dotarła kakofonia zawodzeń i dostrzegli, jak na skraju miasta kręcą się figury khajiickich żołnierzy z pochodniami.

- Niech mnie Baan Dar! - zabełkotał kapitan. - Znowu wojna!

O nie - szepnął Scotti.

Łódka dryfowała z prądem ku przeciwległemu brzegowi, z dala od płonącego miasta. Scotti zwrócił swoją uwagę w tym kierunku, mając nadzieję, że znajdzie tam schronienie przed koszmarem. Na dwóch drzewach zaszeleściły liście i tuzin zwinnych Khajiitów zeskoczył na ziemię.

- Widzą nas - syknął Scotti. - I mają łuki!

- Wiadomo, że mają łuki - prychnął kapitan Balfix. - Może i my, Bosmerowie, wymyśliliśmy te cholerstwa, ale nie zamierzaliśmy robić z tego tajemnicy, ty cholerny biurokrato.

- Teraz podpalają strzały!

- Tak, zdarza im się to robić.

- Kapitanie, strzelają do nas! Strzelają do nas płonącymi strzałami!

- Istotnie - zgodził się kapitan. - Idzie o to, by uniknąć trafienia.

Lecz nie uniknęli. Po chwili spadł na nich deszcz strzał. Co gorsza, druga salwa trafiła w zapasy smoły, które zajęły się wielkim, błękitnym płomieniem. Scotti chwycił kapitana Balfixa i wyskoczyli za burtę, tuż przed tym, jak statek i cały jego ładunek uległy unicestwieniu. Szok zetknięcia z zimną wodą chwilowo otrzeźwił Bosmera. Krzyknął on do Scottiego, który już płynął tak szybko, jak potrafił, w stronę zakrętu.

- Panie Decumusie, dokąd to?

- Z powrotem do Falinesti! - odkrzyknął Scotti.

- To kilka dni drogi, a zanim tam dotrzesz, wszyscy będą już wiedzieli o ataku na Athay! Nie wpuszczą nikogo, kogo nie znają! Najbliższa wioska to Grenos, w dół rzeki, może oni nas przyjmą!

Scotti podpłynął z powrotem do kapitana i zaczęli poruszać się środkiem rzeki, mijając płonące szczątki wioski. Podziękował Marze, że nauczył się pływać. Wielu Cyrodiilian tego nie robiło, bo Prowincja Cesarska w znacznej mierze nie miała dostępu do morza. Gdyby Scotti dorastał w Mir Corrup czy Artemon, byłby zgubiony, ale samo Cesarskie Miasto otaczała woda i wszyscy chłopcy i dziewczyny z miasta potrafili przepłynąć ją wpław. Nawet ci, którzy wyrośli na księgowych, a nie poszukiwaczy przygód.

Trzeźwość kapitana Balfixa zanikała w miarę, jak przyzwyczajał się do temperatury wody. Nawet w zimie rzeka Xylo była dość umiarkowanie chłodna, a po chwili spędzonej w wodzie mogła nawet być przyjemna. Wymachy ramion Bosmera stały się nierówne, podpływał bliżej Scottiego, a potem oddalał się, wyrywał się do przodu i zostawał w tyle.

Scotti zerknął na brzeg po prawej: drzewa zajęły się płomieniem jak chrust. Za plecami mieli piekło, przed którym ledwo nadążali uciekać. Po lewej stronie wszystko wyglądało dobrze, póki nie zauważył drżenia w trzcinach, a potem tego, co je wywołało. Stado największych kotów, jakie w życiu widział. Miały kasztanową sierść, zielone oczy i zębate szczęki z najdzikszych koszmarów. Obserwowały dwóch pływaków i dotrzymywały im kroku.

- Kapitanie, nie możemy popłynąć na ten brzeg, bo się usmażymy, ani na drugi, bo zostaniemy zjedzeni - szepnął Scotti. - Postaraj się wyrównać machnięcia rąk i nóg. Oddychaj normalnie. Jeśli się zmęczysz, powiedz mi, przepłyniemy kawałek na plecach.

Każdy, komu zdarzyło się udzielać racjonalnych rad pijakowi, zrozumie, jak beznadziejna była to sytuacja. Scotti trzymał się kapitana, zwalniając, przyśpieszając, dryfując na lewo i prawo, podczas gdy Bosmer zawodził stare szanty ze swych korsarskich dni. Gdy nie obserwował swego kompana, zerkał na koty na brzegu. Po dłuższym czasie zerknął na prawo. Ogniem zajęła się kolejna wioska - niewątpliwie Grenos. Scotti zagapił się na furię płomieni, zdumiony rozmiarem zniszczeń, i nie zauważył, że kapitan przestał śpiewać.

Gdy się obrócił, kapitana Balfixa nie było.

Scotti raz po raz nurkował w mętne wody rzeki. Nic nie dało się zrobić. Kiedy wypłynął na powierzchnię po ostatnim poszukiwaniu, zauważył, że olbrzymie koty odeszły, być może zakładając, że on też utonął. Kontynuował swoją samotną podróż w dół rzeki. Zauważył, że jeden z jej dopływów stworzył ostateczną barierę, powstrzymując płomienie przed rozprzestrzenianiem się. Ale nie było już kolejnych wiosek. Po kilku godzinach Scotti począł rozważać, czy mądrze byłoby zejść na brzeg. Pytanie brzmiało: na który.

Oszczędzono mu tej decyzji. Zauważył przed sobą skalistą wysepkę i ognisko. Nie wiedział, czy natknie się na Bosmerów, czy Khajiitów, ale wiedział, że dalej płynąć nie da rady. Napinając bolące mięśnie, wciągnął się na skały.

Domyślił się, że są bosmerskimi uchodźcami, zanim się odezwali. Nad ogniem smażyły się szczątki jednego z olbrzymich kotów, które śledziły go przez dżunglę.

- Tygrys Senche - powiedział jeden z młodych wojowników, a w oczach błysnął mu głód. - To żadne zwierzę - jest tak samo bystry, jak każdy Cathay-Raht czy Ohmes czy każdy inny cholerny Khajiit. Szkoda, że ten utonął. Z radością bym go zabił. Zasmakuje ci mięso. Słodkie, od tego całego cukru, który żrą.

Scotti nie wiedział, czy jest w stanie zjeść stworzenie równie inteligentne, co człowiek lub elf, ale po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku dni zaskoczył sam siebie. Mięso było

bogate, soczyste i słodkie, jak słodzona wieprzowina, ale nie było niczym doprawiane. Jedząc rozejrzał się po tłumie. Była to smutna banda; niektórzy wciąż płakali po straconych członkach rodziny. Byli uciekinierami z Grenos i Athay, a rozmawiali tylko i wyłącznie o wojnie. Czemu Khajiitowie znów zaatakowali? Czemu - to pytanie kierowali do Scottiego, jako Cyrodiilianina - Cesarz nie pilnował pokoju i porządku w swych prowincjach?

- Miałem się spotkać z innym Cyrodiilianinem - powiedział Bosmerce, która, jeśli dobrze zrozumiał, uciekła z Athay. - Nazywa się Liodes Jurus. Pewnie nie wie pani, co się z nim stało.

- Nie znam twojego przyjaciela, ale w Athay było wielu Cyrodiilian, gdy przyszedł pożar - odparła dziewczyna. - Niektórzy, wydaje mi się, uciekli prędko. Kierowali się w głąb lądu, do Vindisi w dżungli. Wybieram się tam jutro, podobnie jak wielu innych. Jeśli chcesz, możesz iść z nami.

Decumus Scotti poważnie skinął głową. Ułożył się, tak wygodnie, jak potrafił, wśród kamieni na rzecznej wyspie i w jakiś sposób udało mu się w końcu zasnąć. Ale nie był to przyjemny sen.

Taniec w ogniu, tom 3

FormId	skyrim.esm:01AFD4
Owning plugin	skyrim.esm
Local FormId	01AFD4
Editor ID	Book0DanceInFireV3
Inventory image	(none)
Menu art	HighPolyBasicBook05
Value (gold)	3
Type	Book or tome
Weight	1
Can be taken	Yes
Teaches	(none)
Inventory description	(none)
Keywords	VendorItemBook
Locations	1373
Leveled lists	9
Scripts	0

© Bethesda Softworks LLC and the authors of the mods in the load order.
Exported and generated with SkyrimSourceExporter.